

Zrównoważony rozwój czy zrównoważony regres?

„Nie ma kompromisu w obronie Matki Ziemi” – głosiło hasło popularne swego czasu wśród aktywistów ekologicznych. Rzadko ostatnio się je słyszy, co nie jest chyba przypadkowe. Kierowani pragmatyzmem i w trosce o dobry PR, idziemy na kompromisy. Godzimy się na mniej uciążliwy dla przyrody przebieg kolejnej drogi szybkiego ruchu, nie kwestionując zasadności jej budowy w ogóle, zasadności transportu opartego na tirach i globalnego handlu towarami, które można produkować lokalnie. Opowiadamy się za odnawialnymi źródłami energii, nie kwestionując potrzeby coraz większego jej zużycia, za biopaliwami i katalizatorami zamiast zakwestionować zasadność codziennego poruszania się samochodem, przeciwko GMO, ale bez kwestionowania wzrostu populacji i związanej z tym potrzeby produkcji coraz większych ilości żywności itd., itp.



Fot. Krzysztof Wojciechowski

Krótko mówiąc, opowiadamy się za rozwojem zrównoważonym. Takie podejście zapewnia względną akceptację społeczną naszych ekologicznych celów, pozwala wpasować się w szeroko rozumiany główny nurt. Na dłuższą metę jest jednak mało wiarygodne, mało przekonujące i wręcz bałamutne. Przypomina postawę dziecka, które chce zjeść cukierka i jednocześnie go zachować. Alternatywny przebieg tej czy innej drogi też zaszkodzi przyrodzie, tylko może trochę mniej. Przyczyni się do wzrostu liczby samochodów i z czasem potrzeby budowania kolejnych dróg, które też kiedyś się zakorkują. Biopaliwa, na które motoryzacja i tak będzie musiała się przestawić w obliczu wyczerpania złóż ropy naftowej, zamkną obieg CO₂, ale będą wymagały przeznaczenia ogromnych połaci ziemi pod uprawę roślin, być może genetycznie modyfikowanych, z których są uzyskiwane. A przecież trzeba też uprawiać rośliny jadalne dla stale rosnącej populacji ludzkiej. Spalanie węgla kamiennego rząd chętnie zastąpi elektrowniami atomowymi, przedstawiając je jako „ekologiczne”. Dlatego jest to wypędzanie diabła szatanem lub – by użyć niemetafizycznej metafory – ucieczka z deszczu pod rynnę.

Łatwo akceptujemy fatalistyczną tezę technokratów, że ogólne zapotrzebowanie na energię musi wzrastać. Jasne, że pewnym grupom interesów zależy na tym, aby ono wzrastało. Wcale jednak nie musi tak być. Jeżeli nie będzie wzrastać populacja, a zużycie energii na mieszkańca się ograniczy, to ogólne zapotrzebowanie na nią może nawet spaść.

Zbyt łatwo poddajemy się technokratycznemu mitowi, że technologia rozwiąże problemy. Tymczasem, jak widać, na miejsce rozwiązanych problemów, technologia stwarza kolejne. Wygląda więc na to, że problem jest dużo szerszy niż ta czy tamta szkodliwa inwestycja albo stosowanie niewłaściwych technologii. Problemem jest sama technologia i system wartości, który ją gloryfikuje, powszechna akceptacja stałego postępu technicznego, wzrostu populacji oraz intensyfikacji produkcji, utożsamianie jakości życia z wysokim poziomem konsumpcji i używaniem wysoce skomplikowanych, często wymienianych urządzeń.

Podstawowym konfliktem naszych czasów jest ten pomiędzy technosferą a biosferą. Przy nim nawet nasilające się sprzeczności interesów pomiędzy światem pracy a światem kapitału należy traktować jako problem drugorzędny. Ewentualne zastąpienie kapitalizmu opartego na maksymalizacji zysków i ekonomicznej władzy nielicznych, bardziej egalitarnym, demokratycznym, oddolnym socjalizmem, jakkolwiek zapewne doraźnie korzystne dla większości ludzi, nie rozwiąże problemów ekologicznych.

Być może nawet je zaostrzy, gdyż sprawiedliwszy podział bogactwa umożliwi większą konsumpcję tym, którzy teraz ją ograniczają bynajmniej nie z wyboru.

Technosfera to nowotwór pożerający biosferę. Niepowstrzymana, nietrzymana w ryzach, pożre w końcu nie tylko liczne dzikie gatunki, ale i nas samych, którzy ją stworzyliśmy i wytrwale karmimy. Trzeba otwarcie o tym mówić, jasno stawiać sprawę. Nie naszym zadaniem jest szukanie ewentualnych alternatywnych technicznych rozwiązań problemów, które tworzy sama technika. Możemy je co najwyżej doraźnie tolerować jako mniejsze zło. Potrzebne jest nie tyle reformowanie technologii, co stopniowe wycofywanie się z niej, uniezależnianie się od niej. Nie tyle rozwój zrównoważony, co zrównoważony regres. Ograniczanie populacji i konsumpcji, stopniowa detechnologizacja, deurbanizacja.



Fot. Jacek Zachara

Jaki sens ma np. konstruowanie jeszcze szybszych pojazdów w sytuacji, gdy te już istniejące bez problemu przekraczają znacznie wszelkie ograniczenia prędkości? Jaki sens ma konstruowanie jeszcze doskonalszych komputerów, jeszcze bardziej skomplikowanych telefonów komórkowych i gier elektronicznych, jeszcze lepszych telewizorów? Czy będziemy od tego choć trochę szczęśliwsi? Jaki sens ma włączanie coraz mniejszych dzieci w system szkolnej obróbki i wtlaczanie w ich głowy ogromu matematycznej wiedzy? Czy staną się od tego mądrzejsze? Czy będą dzięki temu lepszymi ludźmi? Osobiście wątpię.

Technokraci nie zadają sobie nawet takich pytań. Interesuje ich jak, ale już nie po co. Jak zauważył kiedyś prof. Henryk Skolimowski, nauka wskazuje możliwość, inżynieria ją realizuje, ludzie się dostosowują. Osobiście wolę dostosowywać się do warunków kreowanych przez naturę niż do tych kreowanych przez technologię. Inna rzecz, że coraz mniejszy mam wybór.

Jak ograniczyć indywidualne zużycie energii i potrzebę kupowania, a w związku z tym zarobkowania? Jak żyć, aby jak najmniej być zależnym od antyekologicznego systemu i jak najmniej go wspierać? Jak sypać piasek w jego tryby? Jak wygospodarować więcej czasu wolnego na tego typu rozważania i działania, które z nich wypływają? Oto pytania, które warto sobie zadawać jak najczęściej. I nie ma sensu dla dobrego PR-u udawać, że „jesteśmy za postępem, wzrostem gospodarczym itp., itd., ale...”. Trzeba jasno stawiać sprawę. Ta cywilizacja jest chora, zabójcza dla biosfery, autodestruktywna. Prędzej czy później sama siebie zniszczy, niszcząc swą naturalną podstawę. Obecny kryzys ekonomiczny pokazuje wyraźnie, jak dominujący system gospodarczy rujnuje sam siebie. Procesy ekonomiczne wymykają się spod kontroli jeszcze do niedawna tak butnych, pyszałkowatych i zadowolonych z siebie ekspertów finansowych. Nie ma sensu udawać, że jesteśmy po tej samej stronie co różni technokraci, że chcemy tylko kosmetycznych zmian. Jeśli są w miarę bystrzy, to i tak wyczują w tym jakiś fałsz. Nie ma sensu pomagać im w budowaniu zielonego wizerunku, bo to może jedynie zaszkodzić sprawie przyrody. Nie ma wreszcie sensu udawać, że jesteśmy częścią systemu, dążyć do wpasowania się weń, przejmować jego retorykę i modyfikować przesłanie tak, aby było bardziej akceptowalne. Trzeba mówić własnym głosem, prezentując alternatywne wartości i nawet jeżeli chwilowo akceptujemy takie czy inne półśrodki, podkreślać, że są to ciągle jedynie półśrodki.

Nie należy też wiązać ekologizmu trwale z takimi czy innymi pozaekologicznymi ideami społeczno-politycznymi. Zamiast tego trzeba budować jak najszersze sojusze taktyczne ze środowiskami sceptycznymi wobec ekonomiczno-technologicznego wzrostu i postępu, własne poglądy na pozaekologiczne kwestie spychając na plan dalszy.

Olgierd Dilis